



W tragicznych okolicznościach 15 sierpnia zmarł prof. Zdzisław Adamczewski, były prezes Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii, prorektor Politechniki Warszawskiej, przewodniczący Stowarzyszenia Geodetów Polskich. Miał 86 lat. Do końca w sprawy geodezji angażował się całym sobą.

**Z**dzisław Marian Adamczewski urodził się 29 listopada 1931 r. w Swędowie (pow. Brzeziny, woj. łódzkie). W 1949 r. uzyskał matłą maturę w Gimnazjum i Liceum im. St. Staszica w Zgierzu. W latach 1949-1951 uczył się zawodu w Państwowym Liceum Mierniczym w Łodzi (technik geodeta), a następnie studiował na Wydziale Geodezyjnym (później Geodezji i Kartografii) Politechniki Warszawskiej. W 1956 r. uzyskał dyplom magistra inżyniera geodety o specjalności geodezja rolna. Od 1 kwietnia 1954 r. nauczyciel akademicki na Wydziale Geodezji i Kartografii (pracę rozpoczął na III roku studiów). Doktorat uzyskał w 1964 r., a habilitację w 1971 r. Piastował na uczelni kolejno stanowiska od zastępcy asystenta aż do profesora nadzwyczajnego. Był stypendystą rządu królowej Juliany Holenderskiej – w 1965 r. odbył półroczny staż naukowy w TH Delft (pod opieką prof. W. Baarda). Tytuł naukowy profesora otrzymał w 1979 r.

Dziekan Wydziału Geodezji i Kartografii (1971-1973) i prorektor Politechniki Warszawskiej (1973-1980). W latach 1973-1974 był kierownikiem projektu i współautorem Systemu Informacji Przestrzennej Teren (podsystemu Państwowego Systemu Informatycznego). Kierownik i współautor powstającego w 1977 roku projektu sieci geodezyjnej kontynentu afrykańskiego (przyjętego do realizacji przez ONZ i częściowo wykonanego przez USA, Francję, Wlk. Brytanię i Polskę).

W latach 1980-1987 piastował stanowisko prezesa Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii w randze podsekretarza stanu. Jeszcze miesiąc temu w liście do naszej redakcji podkreślał, że to właśnie za jego kadencji ustanowione zostały uprawnienia zawodowe oraz utworzone ośrodki dokumentacji. Czas prezesa Przewoźnika i swój uznawał za najlepsze lata polskiej geodezji po pierwszej jej destrukcji w 1948 r. Wspominał liczne kontakty zagraniczne jako oznaki jej prestiżu.

**O**d 1957 r. członek Stowarzyszenia Geodetów Polskich (NOT), w tym jego wiceprzewodniczący (1974-1980), przewodniczący (1980-1983) i w końcu członek honorowy. Wieloletni członek Rady Głównej NOT. Działacz Stowarzyszenia oraz Federacji NOT. W latach 2000-2006 przewodniczący Komitetu Naukowo-Technicznego ds. Doskonalenia Kadr Federacji NOT. Przewodniczący Komisji Szacowania Nieruchomości Zarządu Głównego SGP. Przez 40 lat przewodniczący Centralnego Sądu Konkursowego Turnieju Młodych Mistrzów Techniki. Członek Polskiego Komitetu Konkursu Prac Młodych Naukowców Unii Europejskiej. Przez kilka kadencji członek Komitetu Geodezji PAN. Członek założyciel Towarzystwa Naukowego Nieruchomości i w czterech kadencjach przewodniczący, a następnie członek Rady Programowej Towarzystwa. Promotor 13 doktorów, z których 6 zostało profesorami. Autor ponad 500 publikacji

# Profesor Zdzisław Adamczewski (1931-2018)

**B**ył twórcą polskiej szkoły nieliniowego rachunku wyrównawczego. W 1990 r. sformułował prawo rotacji sejsmicznej pozwalające dokonywać długoterminowej predykcji kataklizmów sejsmicznych oraz w znacznym stopniu wyjaśniające zjawisko El Niño. Opracował technologię numeryczną ustalania tzw. dni sejsmicznych (1999). Wraz z córką dr Luizą Larsen podał i zweryfikował numerycznie model nutacyjny zmian temperatury średniej globu (2009). Był człowiekiem nietuzinkowym. Wzbudzał skrajne emocje – jedni go uwielbiali, inni nie znosili. Posiadał liczne talenty, grał na akordeonie i dużo pisał do prasy, nie tylko branżowej. Przpominamy życiorys zawodowy Profesora oraz wywiad opublikowany w wydanej przez GEODETĘ książce „Poczet Profesorów”. Publikujemy również wspomnienia kolegów i współpracowników.

**Katarzyna Pakuła-Kwiecińska**  
studentka Profesora

## Zna pan swych przodków?

Urodziłem się w Swędowie, właściwie to był Swędówek, czyli Swędów Szlachecki. Pradziadek ze strony matki nazywał się Piotr Tomczak, był owczarzem, arendował owczarnie przy dworach. Był przy tym obeznany w medycynie ludowej, nawet dzieciłki leczył. Dorobił się na prowadzeniu owczarni i kupił trzy włóki ziemi w Swędowie. W sumie 50 hektarów, z młynem i sta-

wami. Był szanowany, został wójtem gminy Dobra. Podczas powstania styczniowego miał z tego powodu problemy, bo chłopcy przyprowadzali mu do gminy powstańców. Proboszcz mówił, że to buntownicy, bo dyrektywa Watykanu nie pozwalała podnosić ręki przeciwko prawowitej władzy. Niektórzy księża patrioci się wyłamywali, ale część kleru była napuszczona. No i chłopcy przyprowadzali tych powstańców, a pradziadek ich odkarmił, a potem musiał odstawić do cyrkułu. Takie to były czasy.

Ten pradziadek miał trzech synów. Pradziadek podzielił posiadłość na trzy części i każdy syn dostał po włóce. Dopiero w następnych pokoleniach to się bardzo rozdrobniło.

Mój dziadek Walenty ożenił się z Anną Królikowską ze Szczawina. Ona miała 18 lat, on już 40, ale zdążył spłodzić jedenaścioro dzieci: ośmiu synów i trzy córki. I wszystkie przeżyły. Oczywiście na takim gospodarstwie nie dało się utrzymać całej gromadki. Zresztą, jak to bywało, trochę się przepiło, trochę przepuściło. Najstarszy, Władek, został na tej resztówce ziemi. Pozostali rozjechali się po świecie. Z ośmiu wujów tylko jeden zdał maturę. Skończył podchorążówkę artylerii we Włodzimierzu, był oficerem. Inni jakoś się wykształcili na rzemieślników. W czasie II wojny światowej wuja Michała Niemcy zabili podczas nalotu na „rodzinną” komórkę podziemia, a wuj Feliks zginął w Oświęcimiu w 1943 r. Zatlukli go na wyprawie, którą z założenia miała przeżyć tylko określona

naukowych, naukowo-technicznych, popularyzatorskich i publicystycznych z zakresu geodezji, obliczeń geodezyjnych, opracowania obserwacji, geofizyki, podstaw matematycznych wyceny nieruchomości, systemów informacji przestrzennej, organizacji służby geodezyjnej i kartograficznej, funkcjonowania geodezji i kartografii w systemie informacyjnym państwa. Autor licznych ekspertyz, recenzji i opinii. Najnowsze monografie i podręczniki wydane przez Oficynę Wydawniczą PW: „Nieliniowe i nieklasyczne algorytmy w geodezji” (2001), „Rachunek wyrównawczy w 15 wykładach” (2004, 2007, 2010), „Teoria błędów dla geodetów” (2005), „Elementy modelowania matematycznego w wycenie nieruchomości” (2006, 2011). W Oficynie Wydawniczej PW redagował też serię „Prace naukowe – Geodezja”.

**G**eodeta uprawniony i rzeczoznawca majątkowy. Przewodniczył zespołom opracowującym i był współautorem geo-

dezyjnych instrukcji (standardów) technicznych K-1 i G-7. Współautor projektów: Tymczasowej Instrukcji Szacowania Nieruchomości, Wytycznych Powszechnej Taksacji Nieruchomości oraz geodezyjnych instrukcji (standardów) technicznych O-1/2, G-3, G-4, G-5. Kierownik i główny wykonawca projektów badawczych Komitetu Badań Naukowych.

Były profesor Instytutu Organizacji i Zarządzania w Przemśle ORGMASZ, były doradca głównego geodety kraju. W ostatnich latach życia profesor Wyższej Szkoły Gospodarki Krajowej w Kutnie, członek Państwowej Rady Geodezyjnej i Kartograficznej, a także przewodniczący rady programowej spółki Europejski Instytut Geodezji i Kartografii.

Uzyskał liczne odznaczenia państwowe: Srebrny Krzyż Zasługi, Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1980), Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski (2000), a także resortowe: Medal Komisji Edukacji Narodowej,

Złota Odznaka za Zasługi dla Obronności Kraju, Złota Odznaka NOT, Diamentowa Odznaka NOT, Diamentowa Odznaka SGP.

**P**rofesor Zdzisław Adamczewski w latach 1950-1964 był członkiem Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, a następnie aż do jej rozwiązania – członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Prywatnie interesował się muzyką, grał na akordeonie. Był członkiem zespołu muzycznego VEGA, a także czynnym sportowcem oraz działaczem sportowym. Przez ponad 30 lat był redaktorem działowym „Przeglądu Geodezyjnego”, a od 1992 r. jego stałym felietonistą. Pisał też artykuły publicystyczne do prasy, został nawet laureatem konkursu tygodnika „Polityka” na pamiątki inżynierów w 1962 r. (wyróżnienie honorowe). Pod koniec życia mówił, że lubi spędzać czas w domu w lesie na Macierowym Bagnie ze swoimi psami i kotami. ■



liczba więźniów. Bardzo dobrze się trzymał, ale pech chciał, że padło na niego, i już nie wrócił z tego komanda.

Teraz ta niegdyś nasza ziemia jest podzielona na małe działki, bo to ładne miejsce nad Moszczenicą, nad stawami. Siedzi ba rodzinna w Swędowie jest pięknie zagospodarowana przez pewną artystyczną, bardzo sympatyczną rodzinę. Ze stodoły zrobili wspaniałe atelier, z obory budynek mieszkalny, wszystko utrzymane w stylu. Byliśmy tam podczas ostatniego dorocznego rodzinnego zjazdu. Cały autokar nas podjechał na starą sadybę, fotografowaliśmy się z obecnymi właścicielami.

### **A rodzina ze strony ojca?**

Jeśli chodzi o drugą gałąź rodziny, trudno mi coś więcej powiedzieć o praprzodkach. Wiem tyle, że ojciec Daniel Mieczysław Adamczewski urodził się w 1898 r., a dziadek Józef pochodził z Sikawy pod Łodzią. Ojciec miał trzech braci i trzy siostry. Skończył termin na słuszarza precyzyjnego i miał papiery czeladnika. Należał do organizacji, która przysposabiała legionistów, ale został wywieziony do Niemiec, do Westfalii. Niemcy zgarniali tam młodych aktywnych, a jako że był fachowcem, został zatrudniony w przemyśle. Wrócił podczas rewolucji w 1917 roku i zaciągnął się do Legionów, służył w II Brygadzie, w łączności. Pod koniec wojny był sierżantem. Przeszedł pod Piłsudskim aż pod Kijów i z powrotem. Nawet dwa dni był w niewoli, ale udało mu się uciec. Gdy Polacy znowu sformowali się na Wołyniu, pogonił za bolszewikami, tym razem aż do linii Dźwiny pod granicą łotewską.

Gdy wybuchła II wojna światowa, musiał uciekać do Generalnej Guberni, bo Niemcy wszystkich aktywnych od razu eliminowali. Pracował w cukrowni w Łyszkowicach pod Łowiczem. Był w Armii Ludowej i nawet zdradził mi swój pseudonim – Stanisław Brzoza. Ale mówili na niego Mietek, z drugiego imienia, i to go kiedyś uratowało. Pewnego dnia z GG wpadł na chwilę do Krzywia pod Zgierzem, gdzie mieszkała cała rodzina. Ale niejaki Lenart, sąsiad konfident, doniósł, że we wsi jest „Mietek”. Wkrótce przyjechali gestapowcy i zgarnęli wszystkich. Na podwórku pod karabinami ustawili mojego ojca i jego dwóch braci Jana i Józefa. Szukali w oborze, w stodole, wszędzie, ale Mietka, nie Daniela. Na szczęście nie przyszło im na myśl, żeby zapytać któregoś z dzieciaków, który to ten wuj Mietek.

Ojciec kontynuował tradycję wójtowską w rodzinie. Tuż po wojnie był wójtem w gminie Łągiewniki koło Łodzi. Został także komendantem ochotniczej straży pożarnej. A jeszcze przed wojną od samego ministra (i późniejszego premiera) Felicjana Sławoja-Składkowskiego dostał Krzyż Zasługi za swą działalność w straży.

### **Jakie były początki pana edukacji?**

Moja matka Rozalia była wspaniałą kobietą. Mądrą i czytającą, mimo że nie miała formalnego wykształcenia. Ambitnie posłała mnie do szkoły przy seminarium nauczycielskim w Zgierzu. Ale ja byłem trochę taki nieprzystosowany sześciolatek, bo przy rodzinie przez ciotki chowany, więc darłem się i nie chciałem zostać w tej szkole. Dyrektorka już miała mnie wyrzucić, ale dziewczyny seminarzystki zlitowały się i mówią, że bym coś narysował. Narysowałem konia, psa, budę, całe gospodarstwo. Dyrektorka, jak zobaczyła rysunek, stwierdziła: – To przyszły Kossak, weźmiemy go. I w ten sposób zostałem w szkole. Przez pierwszy miesiąc siedziałem przy biurku wychowawczynie, potem jakoś się oswoiłem. Pierwszą klasę skończyłem przed wojną. Pan z wąsikami nie dał mi pójść 1 września 1939 r. na rozpoczęcie drugiej klasy.

Po skończeniu 12 lat i ja musiałem uciekać do Generalnej Guberni, żeby uniknąć wywózki do Niemiec. Swędów był blisko granicy, która przebiegała w Bratoszewicach. W Koźlu, już taki trochę przerośnięty, przystąpiłem do pierwszej komunii. Najpierw przez dwa miesiące była nauka. Nie miałem z tym

problemów, bo wcześniej trochę uczyli mnie matka, wujowie i stryjowie, rok uczęszczałem także na tajne komplety, byłem oczytany. No i awansowałem na asystenta ministranta.

### **Był pan jedynakiem?**

I tak, i nie. W końcu 1944 r. w rejon Łowicza, gdzie pracował ojciec, przybyło z Warszawy sporo uciekinierów po Powstaniu Warszawskim. Wśród nich znalazł się młody powstaniec Zbigniew Kos, którego ojciec i matka przedwcześnie zmarli. No więc moi rodzice postanowili go przyjąć. Żyliśmy lepiej niż bracia, ani razu żeśmy się nie pobili. To była nieformalna adopcja, Zbyszek zachował nazwisko. Ten gest pokazuje wielkość moich rodziców, którzy przygarnęli 13-letniego chłopaka i traktowali jak syna. Dostał też część schedy po nich. Zmarł kilka lat temu. Tak więc miałem przybranego brata.

### **A skąd wziął się wybór liceum mierniczego?**

Trafiłem tam dzięki przyjacielowi Antkowi Kowalskiemu, który mieszkał po sąsiedzku. On chodził do łódzkiej mierniczówki i mnie namówił. Ja sam zresztą miałem miłość do map, trochę też rysowałem. I po małej maturze w Gimnazjum i Liceum im. Stanisława Staszica w Zgierzu wybrałem tę szkołę. Nauczycielka francuskiego i łacinnik nie chcieli potem na mnie patrzeć, bo nie poszedłem dalej do liceum i na romanistykę, choć byłem najlepszy z łaciny i bardzo dobry z francuskiego. Egzamin wstępny do mierniczówki poszedł mi nie najlepiej, ale zdałem i 1 września 1949 r. uważam za dzień swojego wejścia do zawodu geodezyjnego. Za to maturę w tym dwuletnim liceum zaliczyłem już na samych piątkach i bez egzaminu zostałem przyjęty na Politechnikę Warszawską. Ojciec, który zawsze był skąpy w pochwałach, bardzo się wtedy ucieszył.

### **Rocznik 1956 wyjątkowo obfitował w uzdolnionych absolwentów Wydziału Geodezji i Kartografii. Czy profesorowie dawali wam wtedy w kość?**

W 1951 roku studia zaczynało ze mną 150 osób, a egzamin dyplomowy w pierwszym terminie w czerwcu 1956 r. zdało 110. Moi koledzy ze studiów, nie tylko późniejsi profesorowie, jak Wojciech Janusz i Jerzy Gaździcki, ale także wielu innych, wybili się np. w pracy w administracji czy przemyśle.

Tak, na uczelni dawali w kość. Miałem 51 godzin zajęć dydaktycznych w tygodniu, nie licząc studium wojskowego, które zajmowało cały dzień. Oczywiście soboty były „pracujące”. Na przykład bez rozwiązania 200-300 całek nie było sensu podchodzić do egzaminu z matematyki. Ja rozwiązałem o wiele więcej, nazywali mnie nawet Zdzisio Całka.

Wiele lat później napisałem artykuł na temat modelowania otworu wiertniczego. Rozwiązałem w nim całkę, która wyglądała na nieelementarną, a okazała się elementarną. Ale to wcale nie znaczy, że jestem uzdolniony matematycznie. Dementuję wszelkie pogłoski na ten temat. W rodzinie jestem najmniej uzdolniony z matematyki i fizyki. Jak mówił pewien stary człowiek, niejaki Wosio ze Szczawina: „Jak się ucy, to się i naucy”.

### **Pracę zawodową rozpoczął pan już w czasie studiów.**

1 kwietnia 1954 r. zostałem zastępcą asystenta (z rysunku geodezyjnego), podobnie jak Wojtek Janusz (z geometrii wykreślnej) oraz Jerzy Gaździcki (chyba początkowo z matematyki). Po zrobieniu dyplomu od razu awansowałem na stanowisko starszego asystenta. Dostałem wprawdzie z urzędu zatrudnienia przydział do Wojewódzkiego Zarządu Urządzeń Rolnych w Łodzi, ale ponieważ pracowałem już na Politechnice, wybroniłem się z tego. W tym roku przypada mięc 60-lecie mojej pracy dydaktycznej. Być może jako wolontariusz będę mógł wygłosić na Politechnice jeszcze jakiś wykład.

### **Pracę doktorską pisał pan z wyrównania sieci geodezyjnych za pomocą modeli fizycznych.**

Kiedy w 1964 r. robiłem doktorat, w Radzie Wydziału Geodezji i Kartografii było czternastu tytułarnych profesorów. Mam



Zespół VEGA. Od lewej: Andrzej Sas-Uhrynowski, Zdzisław Adamczewski, Tadeusz Chojnicki, Wacław Suchorzewski, Andrzej Żółtowski, rok 1957

dzisiaj wiele szacunku, podziwu dla tych starych profesorów, że mnie nie zniechęcali. Przecież ja sobie w pracy doktorskiej bujałem po obrzeżach fizyki, wytrzymałości materiałów itp. Ale nawet prof. Tadeusz Lazzarini na to przystał, chociaż był „fundamentalistą” geodezyjnym i twierdził, że trzeba pilnować geodezji. Wszyscy mnie tolerowali, jednogłośnie zagłosowali po obronie doktorskiej. Nie ma porównania z tym, co dzieje się obecnie, jeśli tylko autor odejdzie gdzieś od głównego nurtu geodezji. Zaraz jest wybrzydzenie. Zaznaczam, że chodzi mi o interdyscyplinarność w metodologii, a nie tylko w zastosowaniach.

Promotorem mojej pracy doktorskiej był prof. Henryk Leśniok, a recenzentami prof. Tadeusz Trajdos (matematyk), prof. Stefan Hausbrandt i dr hab. Ryszard Koronowski. Ten ostatni napisał ładną recenzję, Trajdos nieco zjadliwą, ale to było chyba na moją korzyść, bo profesorowie z Rady Wydziału nie przepadali za nim. Natomiast Hausbrandt napisał recenzję na jedną stronę i nie przyszedł na obronę. Recenzja była – owszem – pozytywna, ale zdawkowa. Kilka lat później w starych notatkach, które Aleksander Skórczyński wydobyl od Hausbrandta, przeczytałem, że profesor o czymś podobnym także myślał, tylko tego nie opublikował.

#### Zaliczył pan staż na TH Delft (obecnie Uniwersytet Techniczny w Delft).

Z tym wyjazdem była ciekawa historia. Miałem już za sobą trochę publikacji, kiedy Holendrzy, głównie prof. Willem Baarda z TH Delft, chcieli się dowiedzieć, co na tej naszej Politechnice, a zwłaszcza u Hausbrandta, kombinują. Symbole pomocnicze, opracowane przez Hausbrandta tak „po inżyniersku”, Baarda sformułował inaczej. Forma pierwsza i druga zostały wzięte z liczb zespolonych i Baarda wywiódł to matematycznie. Chciał może powiązać metodę, którą zastosował Hausbrandt, ze swoim teoretycznym podejściem.

Z Delft przyszło wkrótce imienne zaproszenie na 9-miesięczny staż. Zostałem zakwalifikowany, a gdy zbliżał się termin, dostałem wezwanie do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, by załatwić formalności. Wszedłem do gabinetu dyrektora departamentu, a ten kazał mi poczekać, bo rozmawiał przez telefon. Grzecznie siedzę i słyszę, jak mówi: – Słuchaj, to niech on zrobi ten dyplom w czerwcu, bo ja mam dla niego zaklepany wyjazd na rok. Ot, taka sobie rozmowa.

A za chwilę ten dyrektor mówi do mnie: – Wyjedzie pan na trzymiesięczny staż. – Na trzy miesiące? Miało być na dzie-

więć. Więc mówię, że rezygnuję, bo chodzi mi o zrobienie habilitacji, a nie o wycieczkę turystyczną. Dyrektor skwapliwie się zgodził. I wyszedłem. Ale trzeba trafu, że na korytarzu spotkałem Jurka Życkiego, który był tam radcą. Poskarżyłem mu się, a on na to: – Nie wygłupiaj się, pójde i pogadam z nim. Wrócił po kwadransie i mówi: – Sześć miesięcy, zgódził się! No i się zgodziłem.

#### Po powrocie szybki awans na szefa katedry...

To był drugi incydent z Hausbrandtem, kiedy nie Jerzego Gaździckiego, tylko mnie zrobili kierownikiem katedry. Starzy profesorowie myśleli tak: Gaździcki jako pracownik IGIK, człowiek bywały, pewnie żadnym dziekanem nie zechce zostać i pełnić żadnej funkcji, trzeba będzie tu za niego robić. Wykombinowali więc, że lepiej na katedrę wsadzić Adamczewskiego. No i Hausbrandt, który był wtedy na emeryturze, obraził się.

Potem widocznie obserwował moją pracę, może czytał moje opracowania, w każdym razie napisał do mnie serdeczny list, który przechowuję do dzisiaj. Chyba przekonał się do mnie, bo nawet zaprosił mnie i Skórczyńskiego do domu. Był już słaby, rozmawialiśmy ciepło, serdecznie. Pożegnałem się z nim bardzo dobrze. Tak się złożyło, że jako świeżo upieczony dziekan wygłaszałem mowę nad jego grobem. Zacząłem od słów: umarł profesor Hausbrandt, uczony prawdziwy. Kiedyś, pamiętam, spotkałem się w restauracji na MDM przy kielichu z pewnym starym rzemiechą, który studiował z Hausbrandtem. Opowiedział mi wtedy, jak w 1939 r. uciekał z Białegostoku, który mieli zająć bolszewicy, i wyruszył pieszo do Warszawy. Gdzieś koło Zambrowa spotkał zmierzającego w przeciwnym kierunku Hausbrandta. To było jesienią, zaczynał deszcz ze śniegiem. I ten gość pyta Hausbrandta: – Stefan, dokąd ty idziesz? Przecież tam niedługo będą bolszewicy! A profesor: – Wiesz, muszę, notatki tam zostawiłem.

#### Niektórzy do dzisiaj mówią na pana marcowy docent.

Bo ja przecież jestem marcowy docent. Ale dla mnie to brzmi dumnie, zresztą dla prof. Stefana Przewłockiego i innych rów-



nież. Przewłocki mawia: – A skąd się wzięli dzisiejsi profesoro- wie? Przecież to my, marcowi, hodowaliśmy ich na własnej piersi.

Rzeczywiście, w 1968 r. zostałem docentem, podobnie jak kilkunastu innych doktorów na Politechnice. Mianowano nas docentami, ale jednocześnie postawiono warunek, że w ciągu trzech lat musimy zrobić habilitację. No i był taki facet, nazywał się Adamczewski Zdzisław, który w terminie trzech lat tę habilitację zrobił. Jeden jedyny. Dlatego dla mnie „marcowy docent” brzmi dumnie, bo ja się wywiązałem, a inni po prostu skorzystali.

## **A jak się zostawało wtedy prezesem Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii?**

Jeszcze przed habilitacją prof. Henryk Leśniok zapytał mnie, czy chciałbym pójść do pracy do GUGiK-u, bo prezes Borys Szmielew chętnie by mnie przyjął. Odpowiedziałem, że zostaję na uczelni. Czyli wtedy, kiedy mogłem pójść, tak jak inni moi koledzy, nie poszedłem. Natomiast później były już inne czasy. Prezes GUGiK to było wysokie nomenklaturowe stanowisko. Wcześniej trzeba było zapłacić frycowe, czyli zapisać się do PZPR i być w nomenklaturze. Ja już w tej nomenklaturze byłem, najpierw jako dziekan, a potem prorektor, więc „wskoczyłem” do urzędu. Nie było w tym przypadku. To była planowa gospodarka, planowe zarządzanie kadrami przez władze. Formalnie moją kandydaturę na prezesa wysunęło Stowarzyszenie Geodetów Polskich. Józef Kępa, członek Biura Politycznego PZPR, zaakceptował i po Czesławie Przewoźniku zostałem szefem GUGiK w randze podsekretarza stanu. „Służyłem” w sumie pod pięcioma ministrami.

## **Mógł pan i tym razem powiedzieć, że nie chce?**

Wtedy bym podpadł, chociaż jakoś pewnie w nauce bym egzystował. Mógłbym coś robić, ale nie wiem, czy na przykład pozwoliliby mi wyjeżdżać za granicę.

## **Był pan prezesem GUGiK przez siedem trudnych lat. To okres pierwszej „Solidarności”. Niektórzy mówią, że tępił pan „Solidarność”, ale z drugiej strony bronił pan Bogdana Grzechnika, jej działacza.**

Byłem na pierwszym zebraniu założycielskim „Solidarności” na Wydziale Geodezji i Kartografii PW. Wtedy na Politechnice nie było jakiegos zakazu, żeby partyjni się nie angażowali. Ale

gdy posłuchałem różnych kolegów, nagle aktywistów i społecz- ników, których wcześniej kijem do jakiegokolwiek działalności, poza własnym interesem, nie dało się zapędzić, to pomyślałem sobie: nie, do tego nie przystąpię.

Początek mojego urzędowania był taki, że już pierwszego dnia chcieli mnie załatwić moi koledzy. Przynieśli mi jakieś papiery do podpisu. Coś mi się jednak w nich nie podobało, więc pytam, czy aby wszystko jest w porządku. Zapewnili, że tak. To podpisałem. Na drugi dzień dzwoni Kępa i mówi: – Coś ty zrobił, przecież „Solidarność” cię wywiezie na taczel! No i musiałem tę decyzję odkręcić.

A jak to było z „Solidarnością” w GUGiK-u? Może opowiem anegdotę. Jednym z pracowników urzędu był wtedy pan Józio, należący do „grzechnikowców”, a przy okazji członek ORMO. Kiedy ogłoszono strajk okupacyjny w urzędzie, poprosiłem do siebie szefa straży przemysłowej i szefa ochrony społecznej z „Solidarności”. Uzgodniliśmy, że obejmują dowództwo nad tym całym „ustrojstwem” i pilnujemy, żeby był porządek, żeby nie było prowokacji itd. Ale Józio nie wiedział o tych uzgodnie- niach. W pewnej chwili wkroczył do gabinetu i stwierdził: – Pa- nie prezesie (choć byliśmy na ty), będzie pan odtąd chroniony przez nas, znaczy zawsze ktoś tu przy panu będzie. No to się zapytałem: – Czy jak wyjdę do toalety, to też? – No też! Pogadał, pogadał, w końcu mówię: – Józiu, ja jestem dowódcą ochrony tego budynku i niech nikt nie waży się mnie pilnować, bo każe wyrzucić za drzwi. Dla niego to był straszny dyshonor. Potem poprowadziłem go do okna i zapytałem, na której latarni bę- dziecie mnie wieszać. Wtedy Józio wreszcie „zajarzył” i odparł już rozluźniony: – Pan prezes może sobie wybrać.

No więc, jeśli mowa o tępieniu „Solidarności”, to było tępie- nie tylko tego jednego pana i jeszcze jednej pani. Miałem po- lecenie służbowe wyrzucić z urzędu tych dwoje ludzi, bo albo ja, albo oni. Włodzimierz Balcerk, który kierował wtedy Warszawskim Przedsiębiorstwem Geodezyjnym, przyjął ich do swojej firmy. Nikogo nie skrzywdziłem. Zostałem tak wy- chowany, żeby zawsze być życzliwie nastawionym do ludzi.

Jeśli chodzi o Bogdana Grzechnika, to według mnie każdy ma coś za uszami, z wyjątkiem Bogdana, którego sytuuję w po- bliżu ideału. Uważam go za wspaniałego geodetę. A w tam- tym okresie, cóż, nie miał łatwych wyborów, z jednej strony był w par- tii, z drugiej kierował „Solidarnością”. To były trudne sprawy.

## **Za pana kadencji zlikwidowano GUGiK, siłą rzeczy przeszedł pan do historii...**

To był mój dramat. 21 stycznia 1987 r. zapadła decyzja o likwida- cji urzędu. Zdecydowało gremium w składzie: dwóch sekretarzy KC PZPR, dwóch kierowników wydzia- łów KC, wicemarszałek Sejmu, cała rządowa wierchuszka. Kazimierz Bar- cikowski, który był szefem komisji ds. reorganizacji administracji państwo- wej, zreferował sprawę. On był z re- sortu rolnictwa, a rolnicy dążyli do likwidacji urzędu. I od stycznia do 20 października musiałem robić do- brą minę do złej gry, udawać, że się nic nie dzieje. A wyrok był ostateczny.

Trzy tygodnie przed likwidacją GU- GiK w Strausbergu pod Berlinem od- było się spotkanie szefów cywilnych służb geodezyjnych i wojskowych



Zdzisław Adamczewski i od lewej: córka Luiza, żona Justyna i siostra cioteczna Urszula, rok 1977



*Dzień Wojska Polskiego w Sztabie Generalnym WP w 1984 roku. W środku prezes GUGiK Zdzisław Adamczewski, obok prof. płk Stanisław Pachuta. Referuje pułkownik Henryk Bednarek (tyłem), na pierwszym planie kierownica topograficzna do pomiarów stolikowych (kippregel)*

służb topograficznych krajów obozu socjalistycznego (tzw. socstran). Jeszcze wtedy musiałem im szklić i ściemniać.

Kiedy w 1982 r. pojawiły się pierwsze plany likwidacji GUGiK-u, wojskowi obronili urząd. Z gen. Leonem Sulimą, szefem naszej służby topograficznej, interweniowaliśmy wówczas u wiceministra obrony gen. Floriana Siwickiego. Wojskowi wiedzieli przecież, że cywilna służba geodezyjna robi im 80% map topograficznych (w budżecie ukrywało się te wojskowe wydatki). W 1987 r. także interweniowałem, tym razem u wiceministra obrony gen. Włodzimierza Oliwy. Ale generałowie powiedzieli, że nic nie mogą zrobić. Decyzja o likwidacji była decyzją polityczną. Koniec, kropka. Ówczesny minister budownictwa Jerzy Bajszcak zapytał tylko, czy chcę być likwidatorem urzędu. Zgodziłem się. Nie chciałem, żeby ktoś inny grzebał w tych trzewiach. Był taki prelegent, lektor z KC, który w co drugim zdaniu mówił „towarzysze, bądźmy szczerzy, taka jest prawda”. Ale przecież wtedy ani nie byliśmy szczerzy, ani to nie była prawda.

#### **I po likwidacji GUGiK wrócił pan do pracy na uczelni.**

Miałem ten komfort, że było dokąd wrócić, chociaż tak naprawdę z Politechniki nigdy nie odszedłem. Jako prezes GUGiK prowadziłem równoległe zajęcia ze studentami, badania, kierowałem programem resortowym. Z powrotem nie było żadnych problemów, wszystkie dziewczyny w sekretariatach nadal mnie lubiły, chociaż na wydziale paru ludzi miało mi za złe tę prezesurę. Ale ja nie miałem wyrzutów sumienia. Przynajmniej nie z tego powodu, że im coś złego zrobiłem. Po prostu byłem z drugiej strony.

#### **Pole pana działalności naukowej jest niezwykle szerokie. Od rachunku wyrównawczego po szacowanie nieruchomości. W czym czuje się pan najpewniej?**

Najpewniej to czułem się wtedy, kiedy uczyłem studentów rysunku geodezyjnego. Wszystko inne to same wątpliwości. Jestem jednym kłębkim wątpliwości. Piszę teraz artykuł, za który pewnie zostaną potępiony przez kolegów zajmujących się geodezją wyższą, bo zwątpiłem w cały tok ich rozumowania, wzięty prawie z XVII wieku od Pierre'a Bouguera. Wtedy to matematycy dobrali się do tego tematu. Boże, jakie oni łamańce robią, żeby tę naszą geoidę znaleźć. Zaczynają więc od ułożenia równań różniczkowych, a potem całkują te wspaniałości, idąc od szczegółu do ogółu. Tak robią wszyscy, to jest metoda uniwersalna stosowana w wielu działach fizyki, przyrodoznawstwa, uznawana za jedyne ścisłą. A dlaczego w tym przypadku nie zastosować dedukcji, czyli pójść od ogółu do szczegółu? Ale nie chcę w tej rozmowie wdawać się... w szczegóły.

Wielokrotnie mówiłem, że naukowiec, który przestaje wątpić, staje się majstrem. Może będzie nawet i dobrym fachow-

cem, ale nie naukowcem. Na jakiejś naradzie w Instytucie Geodezji Wyższej i Astronomii Geodezyjnej PW powiedziałem, że naukowcy są od tego, żeby wątpić. Na co Kazek Czarnecki, trawestując Kartezjusza, stwierdził: – Wątpię, więc jestem. Ja to często cytuję: – Wątpię, więc jestem (naukowcem).

#### **Czy pana zdaniem poziom szkolnictwa w kraju w ostatnich latach się obniżył?**

Kubuś Fatalista powiedział, że jeśli coś się dzieje, to dzieć się musi. Zmieniło się. Po prostu teraz obowiązuje inna formuła. Z punktu widzenia starego belfra mogę powiedzieć, że jest gorzej, natomiast z punktu widzenia człowieka, który identyfikuje się z tym czasem i tym miejscem, mam zupełnie inny pogląd. To, co było dobre kiedyś, dzisiaj jest nie do przyjęcia. Na przykład dawanie w kość. Nie można przegiąć, bo człowiek jest z natury leniwy i wtedy nic nie będzie robił. Trzeba do tego podejść inaczej.

Jak ja to robię w szkole w Kutnie? Mówię do studentów: ode mnie macie wyjść z elementarną geodezyjną wiedzą inżynierską. To są nawet ludzie po rozmaitych szkołach licencjackich, są i tacy, którzy nie wiedzą, ile wynosi suma kątów w trójkącie płaskim, i nie potrafią ułożyć prostego równania warunkowego. Ale jak się do nich dotrze, to są bardzo bystrzy i chłonni. Rozwiązują czasem takie zadania, że budzą mój podziw. W zeszłym roku prowadziłem pięć prac dyplomowych i wszystkie były piątkowe, ale sporo popracowałem nad autorami.

Czy zatem gorzej się kształci? Sądzę, że kształci się tak, jak dzisiaj trzeba. Kilkanaście lat temu wymagałem, by studenci policzyli coś skomplikowanego na piechotę. A dzisiaj, żeby policzyli tylko jakiś prosty przykład, poglądowy, żeby wiedzieli, skąd co się bierze. Przecież nie będę im dawał sześciu równań do przekręcenia na kalkulatorze czy kręciołku! To już nie te czasy.

Jeśli chodzi o proces dydaktyczny, to za mojego życia wszystko wywróciło się do góry nogami. W humanistyce jest po staremu, jest tradycja, trzeba temat przeżuć i przeczytać sterty literatury. W naukach ścisłych, w technice, jest inaczej. Z drugiej strony, mój Boże, weźmy ten mój rocznik z Politechniki. Mimo że byliśmy tak ćwiczeni, to przecież różnie bywało. Niektórzy też sobie nie radzili jako inżynierowie z najprostszymi problemami. Mimo że byli inaczej – niby lepiej – kształceni.

#### **Przed 1989 r. państwo decydowało, ilu będzie inżynierów, jakie będą nakłady na naukę itd. Potem wiele się zmieniło, uczelnie otrzymały dużą samodzielność. Jedyne, co się nie zmieniło, to narzekania z ich strony na brak pieniędzy.**

Gdybyśmy wydawali na badania sześć razy więcej, czyli porównywalnie do Niemiec, toby tego jęku nie było. Poza tym po-



szliśmy w stronę populizmu, czyli: robisz badania, to musi być z tego korzyść. Ma więc być tak: premier daje miliard, a my mu miliard w zębach przynosimy w postaci wyników wdrożeń. Bzdura. Prof. Czesław Kamela robił doktorat na Politechnice Federalnej (ETH) w Zurychu. Opowiadał, że na tej technicznej uczelni była katedra muzykologii. Można by zapytać: Po co? Czyżby Szwajcarzy chcieli wyrzucać pieniądze w błoto? Kiedy byłem prorektorem PW, utworzyłem wraz z działaczami młodzieżowymi Akademię Literatury. Wykłady mieli literaci, pierwszy wygłosił Wacław Sadkowski. Ale umarło to, gdy odszedłem do GUGiK-u. Teraz nagle wpadli na pomysł, że trzeba humanizować. Mamy takie wahnięcia, albo humanistyka górą, albo technika.

Jeśli zaś chodzi o liczbę studentów, to w państwowych uczelniach jest limitowany nabór, natomiast w prywatnych nie. To dlatego tak się rozlało. Ale również państwowe szkoły są pod presją popularności, bo przecież dawniej na geodezję startowało 2 kandydatów na jedno miejsce, teraz jest 7.

Jest jeszcze jeden aspekt tego zagadnienia, mianowicie, czy lepiej mieć bezrobotnego analfabeta, w ogóle „nieotartego” o szkołę akademicką, czy jednak człowieka, który zdobył trochę wiedzy. Bo nawet jak on pójdzie do fizycznej roboty, to będzie miał do niej nieco inne podejście. Jeżeli zatem w wyniku takiej polityki ogólny poziom intelektualny społeczeństwa się podniesie, na pewno będzie to z korzyścią dla wszystkich.

## Czy program uczelni nie jest zbyt przeładowany?

Należy rozdzielić studia od nauczania, od freblówki. Według moich wieloletnich obserwacji studiuje nie więcej niż 20% przyjętych na studia. Kiedyś podzieliłem sobie studentów na studentów właściwych, to te 20%, z którymi można się jakoś porozumieć. Potem jest „masa średnia”, czyli ci, którzy trochę się uczą, a trochę nie. No i wreszcie bardzo dużo takich, którzy do szkoły prywatnej przyszedli tylko po dyplom, bo przecież za to zapłacili, a jeśli są w szkole państwowej, to zdobywanie wiedzy też mają gdzieś.

Stanisław Lem w którymś ze swoich ostatnich felietonów przyznał, że jednej rzeczy nie przewidział: niesamowitej komercjalizacji nauki. To się dzieje i w Polsce, i na świecie. Teraz nauka kojarzy się z kupą granciarzy, specjalistów od zdobywania grantów, a efektem ich pracy są „półkownicy”, czyli rozmaite opracowania leżące na półkach.

## Czy w przypadku geodezji można jeszcze mówić o badaniach naukowych? Przecież wszystko już zostało spenetrowane.

Moją idée fixe jest szukać na obrzeżach, czyli interdyscyplinarność. Nie można zasklepać się w wąskiej geodezyjnej skorupie.

## Ale za prace na temat predykcji trzęsień ziemi środowisko specjalistów pana skrytykowało.

Proszę o podanie choćby jednej krytycznej publikacji. Gadać to sobie można. A ci specjaliści pewnie wiedzą wszystko o geodezji!

## Profesora Zdzisława Adamczewskiego wspominają

### Bogdan Grzechnik

Zdzisław Adamczewskiego poznałem w 1958 r., na I roku studiów na Politechnice Warszawskiej. Był wówczas na Wydziale Geodezji i Kartografii starszym asystentem z rysunku geodezyjnego u prof. Stanisława Bema. Nasza grupka przyjaciół (Tomek Dąbrowski, Zbyszek Wróblewicz, Henio Musiatowicz i ja) chyba nadawała na podobnych falach co Zdzisio, bo szybko się wszyscy polubiliśmy. Cały okres studiów On nas wspierał, a my kibicowaliśmy Jego bogatej karierze, często spotykając się przy różnych okazjach.

W 1974 r. prezes Czesław Przewoźnik zaproponował mi kierowanie jednym z biur w GUGiK-u. Pod jego kuratelą pracowałem tam do 1980 r., kiedy to na stanowisko prezesa powołany został Zdzisław Adamczewski. Spotkaliśmy się więc ponownie, tym razem jako szef i podwładny. Starałem się wraz z pracownikami biura sprostać zadaniom, jakie prezes przed nami stawiał.

Trafiliśmy jednak na trudny, choć najciekawszy czas w powojennej historii Polski, bo okres „Solidarności”. Prezes był członkiem układu rządzącego, a my założyliśmy w GUGiK-u koło „Solidarności” i wspieraliśmy Sekcję Geodezji Komisji Krajowej związku. W okresie stanu wojennego liczyłem się z tym, że wszyscy „solidarnościowcy” zostaną zwolnieni z pracy w GUGiK-u. Prezes jednak takiej decyzji nie podjął. Co więcej, kiedy pod-

pisałem zgodę na założenie firmy polonijnej przez dwóch kolegów geodetów wyrzuconych z OPGK Ursus, za co zostałem posądzony przez służby o działalność szpiegowską, wybronił mnie z tej bardzo trudnej sytuacji wbrew stanowisku prawie wszystkich członków kolegium urzędu. Pomógł mi też w załatwieniu wyjazdu na kontrakt do Kuwejtu.

Współpracowaliśmy w GUGiK-u do 1986 r., załatwiając wiele ważnych dla geodezji spraw, takich jak: organizacja administracji geodezyjnej, zintegrowanie PZGiK w wydziałach geodezji i gospodarki nieruchomościami, a także stałe uprawnienia zawodowe dla geodetów oraz możliwość tworzenia prywatnych firm. Później działaliśmy razem m.in. w Państwowej Radzie Geodezyjnej i Kartograficznej.

Czytanie „Przeglądu Geodezyjnego” zawsze zaczynałem od pisanych żywą polszczyzną geofelietonów Zdzisława Adamczewskiego, w których poruszane były aktualne sprawy, piętnowana była głupota i królował dowcip.

Ta „chemia” chyba zawsze między nami była mimo tylu różnych zawirowań. A upłynęło „tylko” 60 lat.

Wiadomość o śmierci Zdzisława to dla mnie szok, żal i ogromny smutek. Żegnaj Zdzisiu! Byłeś wspaniałym człowiekiem, dosконаłym geodetą i wyjątkowym przyjacielem.

Żegnaj, Profesorze

Bogdan Grzechnik

### Jerzy Albin

Ta wiadomość spadła na nas wszystkich jak „grom z jasnego nieba”. Przyzwyczailiśmy się, że Profesor był, jest i będzie stale obecny w naszym środowisku: na wykładach na Politechnice, na konferencjach naukowych, seminariach poświęconych problemom zawodowym, a w naszej świadomości jako autor niezwykle cennych uwag o geodezji, polityce, życiu.

W 1975 roku, gdy byłem na IV roku specjalności geodezyjne pomiary podstawowe na WGiK PW, chodziliśmy na wykłady Profesora z rachunku wyrównawczego i teorii błędów. Posiadał niezwykle rzadką umiejętność mówienia o rzeczach trudnych i skomplikowanych językiem prostym, zrozumiałym. Bardzo byliśmy Mu wdzięczni, że potrafił nam je wyjaśnić. Wkrótce spotkaliśmy się w Instytucie Geodezji Wyższej i Astronomii Geodezyjnej PW – On sławny Profesor i ja świeżo upieczony asystent.

Później współpracowaliśmy przy reaktywacji GUGiK-u, gdy wspólnie z Profesorem, Józefem Kaliszem i Józefem Rackim na przełomie lat 1996 i 1997 tworzyliśmy urząd prawie od zera. Właśnie Profesor Adamczewski przekonał mnie do objęcia kierownictwa tego urzędu w 2001 roku. Obiecał nawet, że zostanie moim „odradcą”, a nie doradcą, bo pozornych zwolenników i klakierów nie zabraknie. Nigdy nie zapomnę Jego słów o „informatyzacji jako narzędziu do obsługi danych”. Powtarzał często, że „sys-

To jest właśnie problem tego iskrzącego styku. To, co wspólnie z córką zrobiłem na temat technologii predykcji, to jest dopiero połowa drogi. Drugą połówką powinni zająć się geofizycy, zamiast mnie przemilczać. Chodzi o stres górotworu, geodeci mieliby tu także pole do popisu. Warsztat obserwacyjny jest obecnie tak rozwinięty, jest tyle obserwacji, że trzeba coś z nimi zrobić. Zamiast tego mamy coraz więcej specjalistów: specjalista od tego, specjalista od tamtego. Nauka nie polega jednak na tym, żeby tylko się rozdrabniać, ale również, żeby stworzyć jakąś syntezę, żeby był z tego pożytek. Jak mówił Staszic: „Umiejętności dopotąd są jeszcze próżnym wynalazkiem, może czczym tylko rozumu wywodem, albo próżniactwa zabawą, dopokąd nie są zastosowane do użytku narodów”. Słowa te widnieją w Małej Auli Politechniki. Dawno temu w jednym z wywiadów powiedziałem, że jestem „geodeta zażartym”, to znaczy takim „zakapiorem” geodezyjnym. Uważam, że to jest piękny zawód, zresztą chyba zbyt piękny. Bo jak coś jest zbyt piękne, to jest niedoceniane.

**Geodezja jest pana domeną, ale spore osiągnięcia ma pan także na polu humanistycznym. To liczne publikacje i artykuły prasowe, jak chociażby geofelietony w „Przeglądzie Geodezyjnym”, to także nagroda tygodnika „Polityka”.**

Jeśli chodzi o tę nagrodę, to w 1961 r. redakcja „Polityki” ogłosiła konkurs na pamiętniki inżynierów. I tak trochę z nudów na ćwiczeniach polowych ze studentami w Komorowie

wziąłem maszynę i w lesie sobie pisałem. Było tego chyba ze czterdzieści stron. Wspominałem pomiary PGR-ów, kilka moich terenowych wypadów. No i to kupili, i opublikowali w wielkanocnym numerze „Polityki” w 1962 r. Dostałem honorowe wyróżnienie. W konkursie wystartowali rozmaici zasłużeni inżynierowie, pamiętniki spisali sążniste, na kilkaset stron, więc do głównej nagrody się nie kwalifikowałem. A fragment, który opublikowali, zatytułowali nieładnie „Skoczybruzda”, bo raz użyłem tego słowa w tekście.

Bozia rozłożyła mi talentów mniej więcej po równo, wszystkiego po troszku. Prof. Edward Otto, recenzent mojej pracy habilitacyjnej, powiedział o mnie: – Geniusz to nie jest, ale solidna robota. Cóż, gdybym był szczególnie uzdolniony, to może by coś ze mnie było, a tak, pozostała mi tylko metodologia naukowa, która jest gdzieś we mnie zakodowana. Wątpić, szukać, nie przeżuwać. No bo ileż można zrobić habilitacji i doktoratów z GPS, ja się pytam?

Rozmawiali Jerzy Przywara i Zbigniew Leszczewicz

(wywiad przeprowadzony w lutym 2014 r. i zamieszczony w jubileuszowej publikacji „Poczet Profesorów” wydanej przez GEODETĘ w 2016 r. z okazji 95-lecia Wydziału Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej; „Poczet Profesorów” w wersji elektronicznej jest bezpłatnie dostępny na Geoforum.pl w zakładce Geowiedza)

temy menedżerskie potrafi zbudować wielu, ale systemy obywatelskie, takie jak kataster, GESUT, tylko my, geodeci”. Wierni tym zasadom byliśmy, tworząc w latach 2002-2005 nowoczesny system ewidencji gruntów (katastru), Geoportal, ASG-EUPOS czy modernizując CODGiK.

Gdy wspólnie z Profesorem Adamczewskim i Hanssem Knoopem zakładałem Europejski Instytut Geodezji i Kartografii, wiedzieliśmy, że będzie to „oaza swobodnej myśli o geodezji i kartografii”. Ta dewiza Profesora była też hasłem kilku konferencji w Pałacu Staszica w Warszawie. Pod Jego przewodnictwem powstały w EIGiK: „Prognoza rozwoju polskiej sieci astronomiczno-geodezyjnej na lat 20”, koncepcje budowy infrastruktury informacji przestrzennej województwa zachodniopomorskiego czy Piotrkowa Trybunalskiego. Fascynowały Go nowoczesne technologiczne rozwiązania i lubił się nimi posługiwać, choć do nowoczesnych telefonów odnosił się z rezerwą.

Nade wszystko cenił uczciwość, mądrość i wiedzę. Mawiał, że „lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć”. Główny Urząd Geodezji i Kartografii zawsze był przez Profesora pojmowany jako centrum służby geodezyjno-kartograficznej Polski. Mam satysfakcję, że zabiegaliśmy o to razem. W ostatnich latach brakowało Mu sił w walce o uświadomienie rządzącym roli geodezji w nowoczesnym państwie.

Profesor Zdzisław Adamczewski jest i będzie jedną z pięciu najważniejszych postaci polskiej geodezji XX wieku wraz

z profesorami: Edwardem Warchałowskim, Janem Piotrowskim, Czesławem Kamelą i Stefanem Hausbrandtem. O takich jak Zdzisław Adamczewski warto pamiętać...

Jerzy Albin

## Waldemar Izdebski

Kiedy rozpoczynałem w 1984 r. studia na Wydziale Geodezji i Kartografii PW, Profesor Adamczewski pełnił funkcję prezesa GUGiK i oczywiście zetknąłem się z Nim. Jednak bezpośrednio zetknąłem się z Nim dopiero na ostatnim roku nauki, kiedy prowadził wykłady z przedmiotu „Teoria błędów pomiarów geodezyjnych”. Tematyka ta interesowała mnie już od dawna, dlatego zapytałem kiedyś Profesora, czy mógłbym pisać u niego pracę magisterską. Było to pewnym przywilejem i trzeba się było wykazać umiejętnościami i wynikami w nauce, ale z tym problemów nie było, więc ustaliliśmy temat pracy dyplomowej „Badanie numerycznej efektywności nieliniowych algorytmów opracowania wyników obserwacji”. Kiedy kończyłem studia egzaminem magisterskim 5 września 1989 r., Profesor nie był już prezesem GUGiK, ale losy geodezji i urzędu zawsze były mu bardzo bliskie, o czym najlepiej wiedzą czytelnicy felietonów publikowanych w „Przeglądzie Geodezyjnym”.

Ponieważ po studiach rozpocząłem pracę w Instytucie Geodezji i Astronomii Geodezyjnej, Profesor stał się moim starszym kolegą z pracy. Doceniał to, co robię, i jako ekspert przewodniczący wielu zespołom problemowym zapraszał mnie do współpracy. Najważniejszy dla mnie

był udział w opracowaniu nowej instrukcji K-1 w 1994 r., w której prawie ćwierć wieku temu zaproponowaliśmy rozwiązania wówczas bardzo nowatorskie i – jak pokazał upływ czasu – słuszne. Rola Profesora w tym zespole była niezwykle ważna, bo dzięki swojej wiedzy i doświadczeniu potrafił zapanować nad pracami i pogodzić oczekiwania chyba wszystkich członków zespołu, których poglądy często były mocno rozbieżne.

Dalsze nasze kontakty to wspólne działania w sprawach naukowych i wdrożeniowych w toku wielu lat współpracy, w której bardzo istotny jest też udział Profesora w mojej karierze naukowej. Zawsze służył mi radą i pomocą, a także formalnie uczestniczył w moich awansach jako konsultant czy recenzent.

Tak się teraz losy potoczyły, że po ponad 30 latach, odkąd Profesor Adamczewski przestał być prezesem GUGiK, na czele urzędu stanąłem ja – jego wychowanek i młodszy kolega. Zaraz na początku mojej bytności w urzędzie zaprosiłem Profesora do siebie. Odwiedził mnie 18 czerwca 2018 r. i przez dłuższy czas wymienialiśmy poglądy na temat obecnego stanu geodezji i planów na przyszłość. Obdarowaliśmy się nawzajem swoimi ostatnio wydanymi książkami i postanowiliśmy umówić się na następne spotkanie, ale los sprawił, że to czerwcowe okazało się ostatnim.

Profesor Zdzisław Adamczewski był wspaniałym, szlachetnym człowiekiem i takim pozostanie w mojej pamięci.

Żegnaj Profesorze. Dziękuję, że byłeś.

Waldemar Izdebski